

TEMAT TYGODNIA

- 14** Edwin Bendyk **Sprawdź, do jakiej klasy społecznej należysz**
- 20** Jacek Żakowski **Czym się różnimy od innych narodów**

POLITYKA

- 22** Ryszarda Socha **Jak PO w Elblągu przegrała**
- 26** Wojciech Szacki **Raport POLITYKI INSIGHT: Partie – komu maleje i dlaczego**

KRAJ

- 30** Paweł Walewski **Antybiotyki – grozi nam katastrofa**
- 34** Ewa Wilk **Dręczenie sześciolatków**
- 36** Ryszarda Socha **Drugie życie pogromczyni Biedronki**
- 39** Juliusz Ćwieluch **Biblioteka Narodowa od nowa**
- 42** Agnieszka Sowa **Mężowie dzieciobójczyń**
- 44** Barbara Pietkiewicz **Eutanazja z użyciem noża**

RYNEK

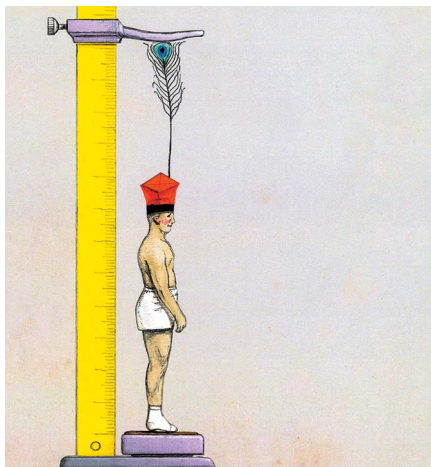
- 46** Adam Grzeszak **Kto dziś zwalnia z pracy i kogo**
- 50** Joanna Solska **Legalny ubój pokątny**
- 54** Polacy w świecie finansów – rozmowa z psychologiem dr hab. **Dominiką Maison**

ŚWIAT

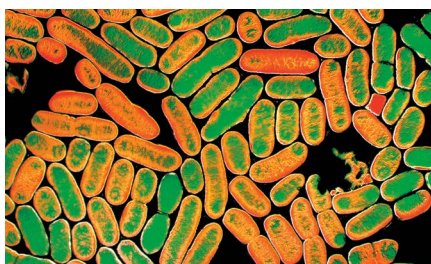
- 60** Jędrzej Winięcki **Wyganiecie z rajów podatkowych**
- 64** Katarzyna Kwiatkowska **UKRAINA Żółte gryzie się z niebieskim**
- 67** Artur Domosławski **AMERYKA ŁACIŃSKA Casting a caudillo**
- 70** Jolanta van Grieken-Barylanka **HOLANDIA Czy Holendrzy zrezygnują z monarchii**
- 72** Łukasz Wójcik **EGIPT Satyrycy kontra prokuratorzy**
- 75** Adam Krzemiński **Namiętny manifest w obronie Europy**

HISTORIA

- 76** Jerzy Kochanowski **Polskie listy do Hansa Franka i Adolfa Hitlera**
- 79** Ludwik Stomma **Straceńcy z Legii Cudzoziemskiej**
- 82** **NAGRODY HISTORYCZNE 2013 Nominacje**



20 Polacy są inni



30 Bezbronni wobec bakterii



50 Mięsna siekierzada



84 Piersi do wynajęcia

- 84** Anna Brzezińska **Mamy i mamki**

NAUKA

- 88** Marcin Rotkiewicz **Czy uczony może kłamać**
- 92** O pseudonaukowych psychoterapiach – rozmowa z dr. **Tomaszem Witkowskim**
- 96** Agnieszka Krzemińska **Co nam zabrał szwedzki potop**
- 100** Marta Klimowicz **Zmęczeni Internetem**

KULTURA

- 106** Piotr Sarzyński **Co łączy Piłsudskiego, Hendrixa i Napoleona?**
- 110** Rozmowa z **Jerzym Pilchem** o Bogu, demonach i nowej powieści
- 114** Mariusz Urbanek **Oskarżony o rasizm i deprawowanie dzieci – Jan Brzechwa**
- 118** Dorota Szwarcman **Jak Wagner Polski nie podbił**
- 121** **KAWIARNIA LITERACKA Michał Witkowski**
- 122** Aneta Kyzioł **Katalog nowych rekwizytów teatralnych**
- 126** Rozmowa z reżyserem „Noego” **Darrenem Aronofskym** o kibucach i obsesjach
- 129** **MEA PULPA Kuby Wojewódzkiego**

LUDZIE I STYLE

- 130** Ryszard Wolff **Michael Jackson, Freddie Mercury, lama i koty**
- 134** Rozmowa z kreatorem perfum **Thierrym Wasserem**
- 138** Agnieszka Krzemińska **Z graffiti przez wieki**
- 141** Marcin Piątek **Golf po polsku**
- 144** Marta Zaraska **Ultramaratończyk**
- 146** **ZA STOŁEM**

NA WŁASNE OCZY

- 156** Barbara Pietkiewicz **Lodówka świadczy o mnie**

STAŁE RUBRYKI

- **4** Mleczko i Mizerski • **6** Ludzie i wydarzenia • **102** Afisz • **148** Do i od, Fusy • **150** Passent • **151** Hartman • **152** Stomma • **153** Tym • **162** Polityka i obyczaj

UWAGA CZYTELNICY! Następnym numerem POLITYKI w sprzedaży od środy 8 maja. Zachęcamy do lektury!



www.mleczko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

ślawomir mizerski z życia sfer

felieton



Układanie dzieciom w głowach

Pod rządami PO wesoło nie jest, dlatego tygodnik „Sieci” proponuje pogrążonym w depresji czytelnikom wynajęcie zaprzyjaźnionego z redakcją satyryka. „Pogoda ducha twórcy powoduje, że jego recitale gwarantują znakomitą zabawę, ale jest w nich także miejsce na refleksję” – reklamują „Sieci” artystę, który na propozycję czeka pod podanym przez redakcję adresem mailowym oraz numerem telefonu. Nie wiemy, czy jest to dobry satyryk, ale jeśli jest to satyryk niepokorny, to z pewnością jest bardzo śmieszny. Trochę niepokojąco brzmi informacja, że w jego występie jest miejsce na refleksję, ale miejmy nadzieję, że za dodatkową opłatą artysta zgodzi się pominąć część refleksyjną, skupiając się

wyłącznie na fragmentach „gwarantujących znakomitą zabawę”. Dzięki temu jego recital zdoła ożywić nawet najbardziej przygnębiającego weekendowy grill, a być może rozweseli także uczestniczące w grillu dzieci, którym – jak wynika z ostatniego raportu UNICEF – jest smutno.

Raport podkreśla, że chociaż polskie dzieci stosunkowo rzadko sięgają po papierosy, alkohol, narkotyki i są mniej agresywne od swoich europejskich rówieśników, to czują się bardziej od nich nieszczęśliwe (mniej szczęśliwe od polskich dzieci czują się tylko dzieci rumuńskie). Być może dlatego przez kraj przetacza się obecnie szeroko zakrojona akcja uszczęśliwiania dzieci. Cała Polska czyta dzieciom, buduje im orliki i oferuje naukę w szkole od szóstego roku życia. Aby dzieciom niczego nie brakowało, jedno z wydawnictw postanowiło dodatkowo uszczęśliwić je układanką edukacyjną, popularyzującą tematykę zamachu

smoleńskiego. Na skutek zaniedbań rządu tematyka ta jest polskim dzieciom wciąż słabo znana, wiele dzieci w ogóle się nią nie interesuje, inne zaś – mimo że chodzą już do szkoły – nadal bezkrytycznie wierzą w smoleńskie bajki zawarte w raportach Anodiny i Millera. W tej sytuacji stworzenie układanki było sprawą pilną, bo jak przyznaje wydawca, „chodzi o to, by nasze polskie dzieci wiedziały, w jakim świecie żyją” i by nie popełniały błędów wielu rodziców „popierających oszukańcze władze polskie”.

Trudno powiedzieć, czy znając prawdę o zamachu i orientując się, w jakim świecie żyją, dzieci będą dużo szczęśliwsze, ale można się spodziewać, że część z nich na skutek bezpośredniego kontaktu z układanką śmieiej sięgnie po papierosy, alkohol i narkotyki. Podejrzewam również, że dzieci, które będą chciały wyperswadować rodzicom popieranie „oszukańczych władz polskich”, mogą wkrótce stać się bardziej agresywne od swoich europejskich rówieśników.

WYBIERZ T-MobileCloud - ROZWIĄZANIA W CHMURZE



NAJLEPSZA OFERTA DLA FIRM Z USŁUGĄ proDysk

T-MobileCloud to bezpieczne i innowacyjne rozwiązania w chmurze. Wybierz jedno z nich – proDysk, dzięki któremu pliki są przechowywane i chronione na bezpiecznym wirtualnym dysku w chmurze. Masz do nich dostęp z dowolnego urządzenia, nawet gdy nie masz pod ręką swojego komputera.



Zeskanuj
i dowiedz się więcej!

- Skorzystaj z najlepszej, nielimitowanej oferty dla firm i wybierz:
- proDysk z bezpłatnym transferem danych
 - nielimitowane rozmowy w kraju
 - nielimitowane darmowe połączenia przychodzące w roamingu
 - ekskluzywny smartfon **Xperia™ Z**, owoc precyzji Sony – za 1 zł

Więcej szczegółów na www.t-mobile.pl/biznes



CHWILE, KTÓRE ŁĄCZĄ.

Generalne zmiany w Sztabie Generalnym

Na początku maja ze stanowiska szefa sztabu generalnego odejdzie generał **Mieczysław Cieniuch**. Gdyby nie przepisy zabraniające pełnienia funkcji powyżej 63 roku życia, pewnie gratulowalibyśmy mu kolejnej kadencji. Gen. Cieniuch został szefem Sztabu Generalnego, kiedy po tragicznej śmierci generała Franciszka Gągora w katastrofie smoleńskiej potrzebny był doświadczony i kompetentny następca. Według wielu osób był jednym z najlepszych szefów sztabów po 1989 r. – *Bardzo inteligentny i odczytany człowiek o szerokich perspektywach. A jednocześnie skromny i taktowny* – opisuje go Janusz Zemke, były wiceminister obrony. Wszystkie te cechy przydadzą mu się na nowym stanowisku pracy. Według niepotwierdzonych przez MSZ informacji Mieczysław Cieniuch niebawem zostanie ambasadorem w Turcji.

Nowym szefem Sztabu Generalnego prawdopodobnie zostanie **Mieczysław Gocuł**. Raczej mało znany poza wojskiem, ale w armii poznali się na nim już w latach 90. W 1999 r. ukończył Land Force Command and Staff College w Kanadzie. A sześć lat później wysłano go na podyplomowe studia operacyjno-strategiczne w Królewskiej Akademii Studiów Obronnych w Wielkiej Brytanii. Studia i kolejne stanowiska sztabowe, na które go wyznaczano, nie dały mu okazji, by wykazać się w służbie liniowej. – *Był moim podwładnym i mogę z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że zapowiadał się na świetnego dowódcę liniowego* – broni go przed sceptykami emerytowany gen. Paweł Lamla. W dniu nominacji gen. Gocuł nie będzie miał jeszcze skończonych 50 lat; po 1989 r. szefem sztabu w młodszym wieku został tylko gen. Tadeusz Wilecki. Gocuł już od prawie trzech lat jest pierwszym zastępcą szefa sztabu, więc sztab zna od podszewki. Dowodził dwoma jego najważniejszymi pionami: operacyjnym i rozpoznania.



© PAP/TYTUS ZMIJEWSKI

Zmiana na stanowisku szefa sztabu pokrywa się w czasie ze zmianą systemu dowodzenia. Według nowych założeń szef sztabu ma dalej być pierwszym żołnierzem. Ale będzie to żołnierz bez armii, bo bieżącym szkoleniem żołnierzy zajmował się będzie dowódca generalny. A użyciem wojska w akcji – dowódca operacyjny. Kierunek zmian widać już po planowanym odchudzeniu Sztabu Generalnego. – *Szef sztabu ma zająć się pracą koncepcyjną. Planować, przewidywać. Od roboty będzie miał dwóch dowódców* – mówi jeden z twórców założeń do reformy. Ale praktycy mówią – kto ma wojsko, ten ma władzę. Krytycy nowej reformy mówią, że redukcja etatów odbędzie się tylko na papierze. A obciążenie ministra obrony narodowej większym nadzorem nad armią będzie szwankować, bo w Polsce mało kto zna się na wojsku. Prof. Stanisław Koziej, który jest największym zwolennikiem tej reformy, twierdzi, że tak naprawdę dopiero po jej przeprowadzeniu realnie można będzie mówić, że nad wojskiem sprawowana jest cywilna kontrola, od dawna wpisana do konstytucji.

Nieoczekiwanie od kilku tygodni kwestia zmiany systemu dowodzenia stała się również obiektem politycznej debaty. Przeciw proponowanym zmianom powstała egzotyczna koalicja SLD, PiS i Ruchu Palikota. 17 kwietnia kluby te złożyły wniosek o odrzucenie projektu ustawy w pierwszym czytaniu. MON może zapomnieć o łatwym sukcesie. Tym bardziej że w samej armii jest bardzo silna opozycja wobec tego projektu. Opóźnienia przy pracy nad ustawą już mają swoje negatywne konsekwencje. W maju kończą się kadencje dowódców poszczególnych rodzajów sił zbrojnych. Ale nowych nie można wyznaczyć, bo po reformie stanowiska te mają zniknąć. Drogą kompromisu prezydent Bronisław Komorowski ma przedłużyć kadencje dowódców do końca roku. MON liczy, że w tym czasie wejdą nowe przepisy. (JULI)

Spadek po Supermanie

Adam Grzeszak

komentarz

Śledztwo jamalskie prowadzone przez ministra spraw wewnętrznych doprowadziło do wykrycia pierwszego sprawcy, który naraził premiera na publiczny blamaż. Nie uprzedził go zawczasu, że polska spółka EuRoPol Gaz podpisała z rosyjskim Gazpromem list intencyjny w sprawie budowy przez Polskę gazociągu Jamał II. A co gorsza, w ogóle dopuścił do podpisania tego dokumentu, czego robić nie należało. W kręgu podejrzeń znaleźli się: minister gospodarki Janusz Piechockiński i skarbu – Mikołaj Budzanowski. Padło na Budzanowskiego. Jego dymisja została uzasadniona niedostatecznym nadzorem nad spółkami gazowymi. Nie jest wpływowym politykiem, więc nie ma obawy o polityczne konsekwencje. Przeciwnie nawet, wielu w PO odetchnie, bo minister gorliwie wykonywał polecenie premiera, by czyścić spółki z ludzi Schetny i w ogóle trzymać polityków na dystans, co rodziło poważne kłopoty ze zdobywaniem dla swoich ludzi posad w zarządach i radach nadzorczych.

Dla Budzanowskiego dymisja to dramat, bo jest perfekcjonistą i jeśli mu na czymś zależało, to na pochlebny słowie premiera i opinii wzorowego ministra. Przekonywał, że nie ma dla niego rzeczy niemożliwych. Ma być gaz łupkowy? Będzie. Gazoport? Nie ma sprawy. Potrzebne wpływy z prywatyzacji, bez oddawania państwowej kontroli nad spółkami? Proszę bardzo. Ożywienie



gospodarki przy pomocy Inwestycji Polskich? Już się robi. Obniżka cen gazu? Ceny spadają. Rosjanie próbują przejąć Azoty Tarnów? Minister pędzi do Tarnowa i na własnym własną pierś blokuje im drogę. A przy okazji konsoliduje sektor chemiczny. Prawdziwy urzędnik superman.

Z cudami jest tak, że czasem wychodzą, a częściej nie. Minister zaliczył ostatnio serię wpadek i dostał żółtą kartkę za to, że nie upiłnował PLL Lot, wskutek czego spółka znalazła się na skraju bankructwa. Obiecał, że błyskawicznie ją uzdrowi, ale tym cudem zajmie się już jego następcą – Witold Karpiński, lubelski poseł PO, dotychczasowy wiceminister administracji i cyfryzacji. Cudów do wykonania nowy minister odziedziczył dużo więcej. Musi przyspieszyć budowę gazoportu, bo za rok przepłyną statki z gazem, a opóźnienia rosną; musi skłonić spółki energetyczne do budowy nowych elektrowni, choć biznesowo to nieoptymalne; musi wycisnąć gaz z łupków, choć nie wiadomo, czy on tam jest.

Premier wie już, jaki jest na to sposób: trzeba powołać Ministerstwo Energetyki. Jak niemal każdy polityk zdaje się wierzyć w nieograniczoną moc urzędniczej kontroli. Marzy mu się gospodarka, w której minister będzie nad wszystkim czuwał: i nad prądem, i nad gazem, i nad węglem oraz ropą. Będzie o wszystkim decydował, wszystko wiedział i tą wiedzą dzielił się z premierem. Coś takiego obiecywał mu już Mikołaj Budzanowski.

Stan powszechnego zaskoczenia

Mina wicepremiera Janusza Piechocińskiego w chwili, kiedy dowiedział się od dziennikarzy o odwołaniu ministra skarbu powinna znaleźć się w albumie dokumentującym najważniejsze wydarzenia z życia koalicji. Nie należy z tego absolutnego, bezradnego zaskoczenia wnosić, że z koalicją akurat dzieje się coś szczególnie złego. Bardzo podobne miny mieli zapewne posłowie PO, którzy dzień wcześniej zacięcie bronili ministra skarbu w sejmowej komisji, odrzucając wniosek o wotum nieufności. Nie bardzo jednak wiadomo, dlaczego omawiali go na dzień przed podjęciem decyzji przez premiera, jakby nie mogli kilka godzin zaczekać na raport ministra spraw wewnętrznych i na decyzję szefa rządu, która musiała być ostra, bo czas omijania decyzji lub odkładania ich do jakiejś przyszłej dużej rekonstrukcji gabinetu wyraźnie się Donaldowi Tuszkowi kończy. Zrobili to z braku elementarnej ostrożności? Z rutyny? Z braku informacji? W myśl założenia, że gdy opozycja chce odwołać ministra, to premier musi go bronić? Nie musi, może nawet opozycję ubiec i kto wie, czy premier nie powinien tego robić częściej. Posłowie jednak to posłowie, a wicepremier to wicepremier, i na dodatek szef partii koalicyjnej i mógłby przynajmniej grzecznościowego telefonu od premiera oczekiwać. Albo sam zapytać. Mina jest bowiem wyrazem nie tyle stosunków koalicyjnych, ile pozycji samego Janusza Piechocińskiego i to nie tylko w rządzie. Także we własnej partii. Polityk, zdawałoby się doświadczony, przekonany na dodatek, że wie prawie wszystko, a w analizie zjawisk politycznych nie ma sobie równych, na stanowisku wicepremiera najwyraźniej się pogubił. I nie może się odnaleźć, co jemu samemu i jego

partii rokuje raczej marnie. W PSL zdają się o tym coraz lepiej wiedzieć, a Janusz Piechociński chyba jeszcze się nie zorientował. Najwyraźniej wciąż jeszcze jest zaskoczony tym, że został prezesem PSL i w konsekwencji wicepremierem, i – co może ważniejsze – ministrem gospodarki. Ludowcy kiedy już kogoś wybiorą, są lojalni, ale do czasu. Oni czas zaskoczenia już przeżyli.

Premier, dymisjonując ministra Budzanowskiego, czego należało się spodziewać, rzucił myśl o utworzeniu nowego resortu od energetyki. Być może więc – w ramach „taniego państwa” oczywiście – powstanie jeszcze jedno ministerstwo, a tym samym premier Tusk zapisze się w historii najnowszej jako szef Rady Ministrów z najlicniejszą rzeszą ministrów. Jeżeli taki miałby być finał naszej wewnętrznej medialno-politycznej awantury o gazowe memorandum, byłyby on rzeczywiście zaskakujący. Opozycja mogłaby triumfalnie głosić, że oto prezydent Putin nie tylko zmienia Tuskwowi ministrów, ale także układa rząd. Jeśli bowiem w tej całej sprawie jest coś zupełnie niezaskakującego, to przekonanie opozycji, być może nie tylko jej, że za wszystkim stoi Rosja i osobiście prezydent Putin, który nas ograł, szczególnie zaś ograł Tuska. Mam poważne wątpliwości, czy Rosjanie to gazowe zamieszanie zaplanowali, ale nie mam wątpliwości, że mają powód, aby się cieszyć z naszego własnego chaosu. W końcu jeśli prezydent Putin ma jako tako zorganizowane służby dyplomatyczne i informacyjne, to dociera do niego, że w Polsce znaczna część klasy politycznej i opinii publicznej uważa, że spiskał, a może nawet zamordował naszego prezydenta pod Smoleńskiem. Niby więc dlaczego miałby się nie cieszyć z naszych własnych konfliktów, a może nawet je tro-



chę podsycać? I rzecz nie musi się odnosić wyłącznie do rur, lecz także do wraku i całego smoleńskiego śledztwa.

W tym chaosie gazowym najbardziej zaskakujące jest, że nie wiemy, czy ta rura byłaby dla Polski opłacalna czy nie? Warto o nią zabiegać czy nie? Martwiliśmy się o interesy Ukrainy zdecydowanie bardziej niż ona sama, o to, czy Rosjanie mają dość gazu, aby go dodatkową rurą wysłać na Słowację, ale jakoś polski interes nie przebił się w politycznej bijatyce. Chyba że uznać, iż polski interes polega na tym, że co z Rosji to z góry złe, fałszywe i podstępne. I tak od lat po naszym życiu publicznym krążą różne rury fantomy: a to Jamał II, a to „piere-myczka”, a to ropociąg Odessa–Brody (chyba nawet wchodzi w skład „testamentu” prezydenta Lecha Kaczyńskiego?). Ich główną cechą jest to, że się pojawiają, okresowo zanikają i nic z tego nie wynika, oprócz kolejnych politycznych awantur.

Zaskoczeniem dla opinii publicznej miał stać się fakt, że w PiS istnieje grupa, która nie wierzy w zamach smoleński, czemu publiczny wyraz dał poseł Girzyński. Nie po raz pierwszy, więc zaskoczenie jest mało zaskakujące. Zaskakujące byłoby twierdzenie, że wszyscy wierzą, zwłaszcza że nie wiadomo nawet, czy wierzy sam prezes, bo przecież nie jest możliwe, aby polityk określany jako posiadający największą przenikliwość i zdolność politycznej analizy do tego stopnia wpadł w sidła mocy nadprzyrodzonych, aby z przekonaniem prawic o wybuchach czy osobach, które katastrofę przeżyły. W konwencji specyficznej politycznej gry to wszystko mieści się znakomicie i tylko w tej konwencji nie dziwi.

Prawdziwie zaskoczony został natomiast kompozytor Zbigniew Preisner, kiedy doniesiono mu, że w Krakowie przy okazji trzeciej rocznicy wawelskiego pochówku wykorzystano jego, napisaną do słów Adama Asnyka, kompozycję „Miejcie nadzieję”. Preisner twardo powiedział, że nie chce być „wycieraczką PiS”, sprawę odda do sądu, bo rzecz napisał po wprowadzeniu stanu wojennego, a teraz jest wolna i demokratyczna Polska i wcale nie jest już tak, że „mężom przystoi w milczeniu się zbroić”. Otóż najwyraźniej kompozytor, jak to artysta, jest nieco odkleszony od rzeczywistości i nie dostrzega, że przecież stan wojenny nadal trwa i zbrojenia idą w najlepsze.

Jan Koza



© JAN KOZA

Wyłudzenie przez pobieranie

Pisma wyglądają jak urzędowe, bo udają druki z instytucji państwowych. Wzywają do zapłaty „w nieprzekraczalnym terminie do dnia...”. Płacić mają przedsiębiorcy, głównie ci, którzy niedawno założyli działalność gospodarczą. Za co? Za wpisanie ich firmy do rejestru. Na przykład Rejestru Polskich Podmiotów Gospodarczych (RPPG), Warszawa, ul. Chałubińskiego 8. Pod adresem tym stoi wieżowiec niegdyś Elektrimu (Intraco II), dzisiaj Oxford Tower. Nikt tu nie słyszał o RPPG. I nic dziwnego, bo wynajmujący tutaj biura często podnajmują innym sam adres, co jest legalne. Swoje wirtualne biuro ma w Oxford Tower m.in. Galor Sp. z o.o., której prezesuje od września 2012 r. Małgorzata Gałkiewicz z Suwałk. Jednak prowadzony przez nią RPPG (opłata za wpis 145 zł) nie istnieje, nawet strona internetowa jest „w organizacji”. Do lipca 2012 r. inny, bo Krajowy Rejestr Informacji o Przedsiębiorcach (KRIP Warszawa, ul. Piękna 24/26a/1) prowadził Alessandro Semi Gałkiewicz (mąż?, ojciec Małgorzaty?), przedsiębiorczy suwalszczanin, którego firma Efekt sprząta i myje okna. W ciągu kilku miesięcy 800 przedsiębiorców wpłaciło mu

po 110 zł, bo tyle brał za wpis do KRIP. Jeszcze inny rejestr prowadzi Halina Gałkiewicz, także z Suwałk, pobierając za wpis 155 zł. Suwalski tercet, podobnie jak kilka lub kilkanaście innych tego typu firm działających w Polsce, informacje o przedsiębiorcach czerpie z publicznych, ogólnodostępnych i bezpłatnych spisów. Od 1 lipca 2011 r. istnieje Centralna Ewidencja Informacji o Działalności Gospodarczej (CEIDG), do której przeniesiono wpisy z ewidencji gminnych. Prowadzący CEIDG resort gospodarki kilkakrotnie ostrzegał przed próbami naciągania i przypominał, że wszelkie czynności związane z wpisem, jego zmianą itp. są bezpłatne. Prawnicy resortowi kilkakrotnie powiadamiali prokuraturę o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. Prokuratura odmawiała jednak wszczęcia dochodzeń z braku znamion przestępstwa. Dlaczego?

Zgodnie z literą prawa pisma firm nazywających się najczęściej „Rejestrami” są ofertami handlowymi spółek prowadzących reklamowe rejestry. Na przykład RPPG Małgorzaty Gałkiewicz z Suwałk informuje o tym. Co prawda w sposób niemal niewidoczny, najdrobniejszym z możliwych drukiem, ale

jednak. Pismo napisane jest w stylistyce udającej urzędową („Zasadzający się na art. (...) wpis do RPPG oparty jest na opłacie”), co jednak, niestety, nie jest karalne. Wrażenie mogą robić: czerwona pieczęć z zamasytym podpisem, numery regon i NIP (przepisane z CEIDG), wypełniony blankiet przelewu. Tylko płacić. Tym bardziej że „brak płatności w terminie nieprzekraczalnym” spowoduje trwały brak wpisu”. Na forach internetowych przedsiębiorcy podpowiadają koleżankom i kolegom, co robić z wezwaniami do zapłaty (najczęściej: „kosz”). Można też zgłosić policji lub prokuraturze jako namawianie do niekorzystnego rozporządzenia mieniem adresata. Jednak wielu przedsiębiorców płaci. Bo dostali pismo takie jak urzędowe; bo z urzędem wzywającym do zapłaty się nie dyskutuje; bo z urzędem się nie wygra. Na jednym z forów przedsiębiorca „Janek” po analizie wezwania do zapłaty 115 zł od Krajowego Rejestru Pracowników i Pracodawców oraz ostrzeżeń CEIDG pyta: „Proszę więc o jednoznaczny odpowiedź. Opłata jest obowiązkowa czy nie?”

WOJCIECH MARKIEWICZ

W obronie zwierząt, przeciwko głównemu weterynarzowi

Czy sprawa uboju rytualnego i kolejne „afery mięsne” spowodują dymisję głównego lekarza weterynarii Janusza Związka? obrońcy praw zwierząt – Viva!, Klub Gaja oraz Polskie Towarzystwo Etyczne – apelują do premiera Tuska, by odwołał go ze stanowiska. „Nie tylko nie wykonuje swoich ustawowych obowiązków, ale sabotuje polskie prawo, co czyni go współodpowiedzialnym za skalę nadużyć szerzących się w przemyśle mięsny” – piszą w liście do szefa rządu.

Od 1 stycznia 2013 r., po wejściu w życie wyroku Trybunału Konstytucyjnego i zgłoszeniu zastrzeżenia do komisji Unii Europejskiej w tej sprawie, w Polsce obowiązuje zakaz uboju rytualnego. Mimo to główny lekarz weterynarii nie tylko nie podjął żadnych działań, aby nielegalny proceder uboju bez ogłuszenia ukrócić, ale nawet nie powiadomił swoich podwładnych i przedsiębiorców o obowiązującym nowym stanie prawnym.

– Inspekcja weterynaryjna to rodzaj policji – mówi **Janusz Związek**. – Naszym zadaniem nie jest informowanie, tylko egzekwowanie prawa. O zmieniających się przepisach powinny raczej poinformować właściwy organ, który składał zastrzeżenie do komisji UE (minister rolnictwa – red.). Obrońcy praw zwierząt twierdzą, że w Polsce nadal można



© MICHAŁ FLUDRA/NEWSPIX.PL



© PAP/PAWEŁ SUPERNAK

przygotować mięso pochodzące z uboju rytualnego. Janusz Związek zaprzecza: od 1 stycznia nie ma w Polsce przypadków uboju bez ogłuszenia.

Na stronie internetowej Państwowej Inspekcji Weterynaryjnej nadal jest jednak dostępna lista zakładów zajmujących się ubojem rytualnym. – Te zakłady nie straciły swoich uprawnień, nie my je nadawaliśmy, tylko gminy wyznaniowe – tłumaczy Janusz Związek. Ubój rytualny oburza obrońców zwierząt, a wszystkich konsumentów dotykają coraz to nowe przypadki wskazujące na brak kontroli weterynaryjnej w ubojniach tradycyjnych. A przecież przy każdym uboju musi być obecny weterynarz wyznaczony przez inspekcję weterynaryjną.

Główny lekarz weterynarii sprawuje też nadzór (poprzez swoich powiatowych inspektorów) nad schroniskami dla bezdomnych zwierząt. Niestety, to, co dzieje się w większości przytułków, wskazuje raczej na brak nadzoru. W ostatnich latach udało się, dzięki działaniom organizacji pozarządowych, zlikwidować kilka takich mordowni bezpańskich zwierząt. Były sprawy w sądach i wyroki dla prowadzących schroniska. Ale inspekcje weterynaryjne, które mają obowiązek kontrolować schroniska, nie ponosiły żadnych konsekwencji. (AS)

O nielegalnym mięsie z legalnego uboju – s. 50.

ŻYWIEC



Jak widać, smakuje najlepiej.

Wyjątkowe piwo wymaga wyjątkowego podania. Teraz Żywiec ma innowacyjny wskaźnik schłodzenia, dzięki któremu wiesz, kiedy osiąga idealną temperaturę. Żywiec najlepiej smakuje w 6 stopniach!



W pierwszych dniach po zamachu bostońscy chętnie współpracowali z policją, jednak braci Tamerlana (lat 26, poniżej z lewej) i Dżochara Carnajewów (lat 19) zidentyfikowano dzięki miejskim kamerom.



© REUTERS/FORUM (2)

Groźny w Bostonie

Po tragedii w Bostonie Ameryka znów staje przed dylematem: czy dla bezpieczeństwa poświęcić część wolności.

TOMASZ ZALEWSKI Z NOWEGO JORKU

Bomby w czasie maratonu w Bostonie, zatrute listy do Baracka Obamy i senatorów, a na dodatek eksplozja w Teksasie. „Marny tydzień dla Ameryki” – przyznał Ross Douhat z „New York Timesa”, ale zalecił, by nie popadać w depresję, bo 1200 lat świetlnych od Ziemi odkryto właśnie planety, na których może rozwijać się życie. Rozbrajające, melancholijne westchnienie felietonisty dobrze wyraża nastroje w USA po tragicznych wydarzeniach ubiegłego tygodnia. Prezydent Obama czekał całą dobę z ogłoszeniem, że chodzi o atak terrorystyczny. Tego problemu miało już nie być, miał zanikać, zepchnięty na dalszy plan przez inne – pokryzysowy pesymizm, stagnację na rynku pracy i bezwład w Kongresie, gdzie nawet po masakrze w Newtown (gdzie w szkole zginęło 20 dzieci) ustawodawcy nie są w stanie uchwalić nakazu powszechnej kontroli nabywców broni palnej. A tu nagle, po raz pierwszy od 11 września 2001 r., na ziemi amerykańskiej z rąk terrorystów giną niewinni ludzie. W dniu oblavy na braci Carnajew bostońscy przy pełnym zrozumieniu i poparciu przyjęli zakaz wychodzenia z domów i jazdy samochodem. Mieszkańcy nie skarżyli się, gdy oddziały antyterrorystów wchodziły do

ich mieszkań. Okazali niezwykłą dyscyplinę. Jaka będzie reakcja Amerykanów, jeśli okaże się, że oskarżani o zamach bracia nie działali sami (kiedy piszę te słowa, tego nie wiadomo) albo dojdzie do kolejnych zamachów? Jak zareagują na zaostrzone środki prewencyjne, które rząd wtedy wprowadzi? Ameryka znów staje przed dylematem: czy dla bezpieczeństwa poświęcić część wolności. Aresztując młodszego z braci, Dżochara, władze zawiesiły prawo Mirandy, nakazujące m.in. poinformować zatrzymanego, że może odmówić zeznań. Powołały się tu na wyjątek w sytuacjach zagrożenia bezpieczeństwa publicznego – nie wolno sugerować Czeczenowi, że może milczeć, jeśli mógłby ujawnić dane o innych bombach lub o swoich ewentualnych współnikach. Administracja Obamy wcześniej rozszerzyła nawet zakres pytań, jakie można zadawać aresztowanemu przed odczytaniem mu prawa Mirandy. Wywołało to krytykę ze strony Amerykańskiej Unii Swobód Obywatelskich (ACLU), która po ataku w Bostonie twierdzi, że FBI „nie może iść na skróty” i przed „zmirarowaniem” aresztowanego funkcjonariuszom wolno pytać tylko o to, czy nie planował następnych zamachów.

Kwestia prawa Mirandy to element szerszego problemu – jak w ogóle traktować dziś podejrzanych i oskarżonych o terroryzm. Obama porzucił określenie „wojna z terroryzmem”, używane przez George’a W. Busha i zdawał się – przynajmniej na początku swych rządów – popierać tezę, że z tą plagą można walczyć jedynie metodami stosowanymi w ściganiu pospolitej przestępczości. W praktyce kontynuuje z grubsza politykę swego poprzednika – islamskich ekstremistów na świecie bombarduje, posługując się dronami, nie zamknął więzienia w Guantanamo i pod naciskiem Kongresu zrezygnował z procesów najgroźniejszych terrorystów Al-Kaidy przed cywilnymi sądami. **N**ie wiadomo jeszcze, czy bracia Carnajew byli samotnymi dżihadystami, czy narzędnikiem (świadomym lub nieświadomym) w rękach jakiejś siatki, ale presja opinii i Kongresu może sprawić, że także Dżochar zostanie potraktowany jak *enemy combatant*, żołnierz wrogiej armii, którego trzeba osądzić według praw wojennych. To zaś by oznaczało, że stanie przed cywilnym sądem federalnym, aby można mu było wymierzyć karę śmierci zakazaną w stanie Massachusetts, gdzie leży Boston. Prawdopodobnych sprawców ubiegłotygodniowej masakry wytopiono dzięki wideokamerom na ulicy. Jest ich coraz więcej w USA – w samym Nowym Jorku około trzech tysięcy – a ich skuteczność w ściganiu przestępców spowoduje zapewne, że będzie ich przybywać. Wścibskość Wielkiego Brata nie podoba się wielu Amerykanom, zwłaszcza o libertariańskim światopoglądzie. Ci ostrzegają, że naruszanie

prywatności obywateli jest wstępem do ich zniewolenia przez państwo. Ale pojawiają się też opinie, że młodzi ludzie, wychowani na robiących zdjęcia komórkach, Facebooku i innych portalach społecznościowych, widzą ten problem inaczej – są przyzwyczajeni, że stale się ich fotografuje i filmuje i że w sieci krąży o wszystkich coraz więcej informacji. Zmienia to ich poczucie prywatności lub może je wręcz likwiduje.

Jeśli inspiracją dla Czezczeńców z Bostonu była – jak wiele na to wskazuje – ideologia radykalnego islamu, jeszcze bardziej wzmacni to negatywne stereotypy tej religii w USA. Znowu pojawiają się apele o inwigilację muzułmanów. „Wall Street Journal” wezwał do penetracji „pewnych imigranckich społeczności, które zrodziły dżihadystów, oraz nawet meczetów i innych muzułmańskich miejsc”. Konserwatywny dziennik radzi, by nie przejmować się protestami obrońców praw obywatelskich. Przypomina też w komentarzu redakcyjnym, że policja od dawna śledzi krajowych prawicowych ekstremistów i „nie powinna się wzbraniać przed robieniem tego samego w środowiskach muzułmańskich tylko dlatego, że to politycznie niepoprawne”. Postulaty takie bynajmniej nie wychodzą tylko od prawicy. Popiera je też wielu Amerykanów o poglądach lewicowych.

A tak w Bostonie stał się także wygodnym pretekstem dla przeciwników dopinanej właśnie w Kongresie reformy imigracyjnej. Nie przeszkadza im, że przypadek braci Carnajew nie ma nic wspólnego z głównym celem tej reformy: legalizacją pobytu nielegalnych imigrantów – Tamerlan miał zieloną kartę, a Dżochar obywatelstwo. Prawne uregulowanie statusu obcokrajowców żyjących w ukryciu i ich ujawnianie się może nawet pomóc w tropieniu tych, którzy spiskują. Obaj bracia znakomicie wpisują się jednak w tradycyjny obraz groźnego cudzoziemca, który przyjechał do Ameryki, by siać zamęt i zniszczenie, jak kiedyś anarchiści i komuniści. Nieważne, że to przypadek skrajny, że miliony innych imigrantów uczą się albo pracują i nie podkładają bomb.

Ale czy wszyscy czują się tam dobrze? Ameryka uchodziła zawsze za kraj imigrantów, ich Ziemię Obiecaną, gdzie przybysze z biedniejszych regionów świata asymilują się lepiej niż w Europie. Także muzułmanie – jak zawsze uważano – łatwiej znajdują swoją drugą ojczyznę w USA niż np. we Francji czy Niemczech. Historia Czezczeńców z Bostonu postawiła tu znak zapytania. „Nie mam żadnych przyjaciół wśród Amerykanów. Nie rozumiem ich” – powiedział kiedyś Tamerlan Carnajew. Jego odczucia były podobne do tych, jakim dawał kiedyś wyraz koreański student Cho Seung-Hui, który też czuł się wyalienowany z racji swego pochodzenia, skarżył się na dyskryminację i w kwietniu 2007 r. na uniwersytecie Virginia Tech zastrzelił 32 osoby. Tamerlan Carnajew więcej już nie powie. Trzeba teraz czekać na zeznania jego brata.

Ziemia dla wybranych

Do Europy wróciły latyfundia. Jak twierdzi Transnational Institute, międzynarodowy think tank z siedzibą w Amsterdamie, system dotacji rolnych, który premiuje największe gospodarstwa, doprowadził w Unii Europejskiej do wielkiej koncentracji własności ziemi: 3 proc. największych uniijnych gospodarstw kontroluje już połowę ziemi uprawnej w Unii. Na wschodzie kontynentu powstają prawdziwe latyfundia. Na Ukrainie dziesiątka największych firm rolniczych kontroluje aż 2,8 mln ha, czyli ok. 25 proc. całej ziemi uprawnej kraju. Transnational Institute taki stopień koncentracji ziemi nazywa wprost skandalem. Z takim samym kłopotem zmagają się także rolnicy w Afryce, Azji i Ameryce Płd. Rolnicza Europa nie jest wyjątkowa pod jeszcze jednym względem: oprócz zamożnych rolników, zwykłych spekulantów, funduszy inwestycyjnych i emerytalnych, na Starym Kontynencie ziemię przejmują też firmy z Bliskiego i Dalekiego Wschodu. Np. Chińczycy interesują się uprawą kukurydzy w Rumunii, a Arabowie z Bliskiego Wschodu inwestują w uprawę zbóż w Bułgarii.

REKLAMA

 WROCLAW 2016
Europejska Stolica Kultury



Od Cranacha do Picassa Kolekcja Santander

Wystawa prezentuje ponad 60 dzieł będących znakomitą reprezentacją sztuki europejskiej od średniowiecza do końca XX w.

Od 12 marca do 6 czerwca 2013

Muzeum Narodowe we Wrocławiu

FUNDACION
 Banco Santander

 Bank Zachodni WBK

1948
2013
MUSEUM NARODOWE
WE WROCLAWIU



© AP/FEAST NEWS

Ściana płaczu kobiet

Nie ma równości pod jerozolimską Ścianą Płaczu. 12-metrowa sekcja kobieca, odgradzona płotem od męskiej (48 m), jest często tak zatłoczona, że nie sposób dopchać się do Ściany. W dodatku kobiety w tym miejscu nie mogą na głos odmawiać modlitw, śpiewać ani czytać Tory, nie mówiąc już o zakładaniu rytualnego szala. Wszystkie te zakazy są łamane przez założoną w latach 80. organizację Kobiety Ściany (Women of the Wall). Jej członkinie, zarówno liberalne Żydówki z nurtów reformowanych, jak i wyznawczynie judaizmu ortodoksyjnego, domagają się równego traktowania pod Ścianą, co regularnie kończy się dla nich aresztem (na fot. zatrzymane aktywistki Women of the Wall). Być może już niedługo. Natan Sharansky, szef Agencji Żydowskiej, która jest organem wykonawczym Światowej Organizacji Syjonistycznej, zaproponował, aby w pobliżu Ściany wyznaczyć trzecią sekcję o koedukacyjnym charakterze, gdzie dopuszczone byłyby wszelkie praktyki. Mogłaby ona powstać w pobliżu Łuku Robinsona, na południe od Ściany. Już dziś modły mogą tam odprawiać liberalne nurty judaizmu, ale tylko w określonych godzinach i za opłatą. Ściana Płaczu dostępna jest bez przerwy i za darmo.

W ostatnich dekadach to najświętsze miejsce judaizmu zostało przechwycone przez żydowskich ortodoksów, szczególnie od kiedy w 2003 r. sąd najwyższy Izraela potwierdził ich monopol administracyjny pod Ścianą. Uzasadnienie tej decyzji nie było jednak religijne – sąd przyznał, że nie sposób zapewnić bezpieczeństwa liberalnym Żydom, którzy w tym świętym miejscu są narażeni na ataki ortodoksów – więc lepiej, żeby się tam nie ujawniali. Przenosząc liberalnych Żydom pod Łuk Robinsona, Izrael skapitułuje więc przed jedynymi fanatykami, ale może wywołać wojnę z drugimi – Palestyńczycy już zapowiedzieli, że nie dopuszczą do żadnych zmian wokół Wzgórza Świątynnego.

Addio pomidory

W brazylijskim Internecie roi się od żartów w rodzaju: „Jeżeli wygrasz na loterii, to kupię sobie kilo pomidorów”. W realu już nie jest tak wesoło. Lokalne media donoszą o mężczyźnie, który zabił ciężarną żonę, bo wrócił z targu bez tych owoców. Ich cena to ostatnio najgorętszy temat w Brazylii – jeszcze rok temu kilogram kosztował dwa reale (ok. 3 zł), a teraz już siedem. Zdrożały zresztą niemal wszystkie warzywa i owoce. Winna jest dobra koniunktura. W ciągu ostatniej dekady ze skrajnej nędzy do niższej klasy średniej awansowało 30 mln Brazylijczyków. Bezrobocie jest najniższe w historii, przyszłoroczny mundial oraz igrzyska olimpijskie w 2016 r. napędzają rynek pracy. Pensje idą do góry, a Bank Centralny tnie stopy procentowe i napędza konsumpcję, za którą nie nadąża jedynak produkcja. Różnica w popycie i podaży wywindowała inflację, która wynosi już 6,6 proc. – znacznie więcej, niż zakładał rząd. I choć większość Brazylijczyków zauważa to przede wszystkim na targu, szukając tańszych pomidorów, to „cierpią” także bogacze: obiad w luksusowej restauracji wychodzi taniej w Nowym Jorku i Paryżu niż São Paulo.

Cieszą się w zasadzie tylko sąsiedzi. Z Argentyny i Paragwaju przemycane są tańsze warzywa, a z Boliwii używane samochody – choć, jak wychodzi w policyjnych śledztwach, często wcześniej skradzione właśnie w Brazylii.

Zagrożenie dla Merkel?

Adam Krzemiński

komentarz

Na kilka miesięcy przed wyborami do Bundestagu powstało nowe populistyczne stronnictwo – Alternatywa dla Niemiec (ADN). Nawołuje do rozbicia strefy euro, powrotu do marki niemieckiej i zdecydowanej odmowy płacenia przez Niemcy za kraje zadłużone. W ciągu kilku tygodni do ADN zapisało się ponad 7 tys. członków. I gdy sondaże pokazały, że aż 22 proc. ankietowanych wyobraża sobie poparcie dla takiej partii, na zwolenników rządzącej dziś koalicji padł blady strach. Czyżby już i w Niemczech – tym filarze Unii – szykowało się antyeuropejska rewolta? Tak źle jeszcze nie jest. Według Instytutu Demoskopii w Allensbach, ADN realnie może liczyć na 1–2 proc. głosów w wyborach. To daleko od 5-proc. prognozy wyborczego.

W repartyjne Federalnej od dziesięcioleci działa stabilny układ partyjny, choć na skrzydłach wciąż powstają – i zanikają – nowe partie. Niemiecki wyborca dopuszcza je niekiedy w poszczególnych landach – tak było z nacjonalistyczną NPD,



Republikanami czy ostatnio Piratami – ale w wyborach do Bundestagu odwraca się od nich. I z czasem zanikają. Jednak sztynny układ dwóch wielkich chadeków i socjaldemokratów, oraz tej trzeciej siły – liberałów, jako jęczyczka u wagi, został rozchwiany poprzez wejście do Bundestagu Zielonych i Lewicy. Niewykluczone więc, że ten dawny system będzie się pruł dalej. Ale czy akurat z udziałem ADN?

Czasu do wyborów niewiele, program ubożuchny, a elektorat to ludzie starsi, dysydenci z CDU-CSU, FDP i SPD oraz bardzo młodzi – ci od Piratów i Lewicy.

Nawet kilka procent dla narodowych egoistów z ADN może wypchnąć z Bundestagu liberałów z FDP, którzy w sondażach oscylują wokół granicy 5 proc. Ale wtedy niemal pewna będzie powtórka z wielkiej koalicji z lat 2005–09. To prognoza nieprzyjemna dla obecnej koalicji, ale nie dla Angeli Merkel. Niemniej wygląda na to, że rozpoczynająca się kampania wyborcza będzie kampanią o euro i Europę. Tak jak w wielu krajach Europy, co je paradoksalnie łączy.

NOWE FORUM na wielką majówkę

Od piątku 26 kwietnia w kioskach

NOWE FORUM
N A J C I E K A W S Z E H I S T O R I E Ś W I A T A

Kod Medici
Jaka choroba zniszczyła rod Medyceuszów?

MARATON TERRORU

Kultura gwałtu

TYGRYS SIĘ BUDZI
O czym Carla mu mruczy?

3,90
EXTRA CENA*

POTOP W KALIFORNII
Hollywood zaleje woda

BYŁŚ PRZY TYM, FRANCISZKU...
Junta przed sądem w Argentynie

SKĄPANI NA CYPRZE
Ile stracili Rosjanie

KONIEC GENIUSZY
Wszystko zostało wymyślone

BORYS I SZALONY
Premier Albionu

MICHEL HOUELLEBECQ
Powrót antychrysta

SAUDYJKI BEZ TWARZY
Bunt na pustyni

teraz
dwutygodnik

dzień
wydania
piątek

większa
objętość
80 stron

niezwykłe ludzkie losy ● kulisy wydarzeń
wywiady z bohaterami naszych czasów ● reportaże z fascynujących miejsc

niepowtarzalne zdjęcia ● kontrowersyjne teksty ● wyjątkowi autorzy

Odkryj Nowe FORUM – szczegóły str. 154 i 155

* Promocyjna cena pierwszego numeru.

Polska klasowa

Podział na klasy tworzy coraz trudniej porozumiewające się światy, oddzielone od siebie niczym zamknięte osiedla.

EDWIN BENDYK

Przemianami społecznymi w Polsce rządzi reguła św. Mateusza, głosząca, że bogatym będzie dodane – twierdzi prof. Maciej Słomczyński, socjolog z Polskiej Akademii Nauk i Ohio State University w Stanach Zjednoczonych. Razem z prof. Krystyną Janicką rozpoczęli w 1988 r. program naukowy POLPAN, zakrojone na szeroką skalę badania struktury społeczeństwa, które są regularnie powtarzane na tej samej grupie respondentów. Kiedy projekt ruszał, nikt nie przewidział, że kolejna, zaplanowana za pięć lat edycja będzie już analizować kraj po wielkiej transformacji. Szczęśliwy przypadek spowodował jednak, że proces przechodzenia od socjalizmu do kapitalizmu został niejako socjologicznie sfilmowany. Z kolejnych, powtarzanych co pięć lat badań powstają następne odcinki serialu, który najlepiej zatytułować „Gra w klasy”.

Wniosek podstawowy: w Polsce od początku transformacji systematycznie rośnie rozwarstwienie społeczno-ekonomiczne. Najlepiej usytuowane 15 proc. Polaków poprawiło swoją kondycję materialną między 1998 a 2006 r. średnio ponaddwukrotnie. 15 proc. najbiedniejszych w 1988 r. – zubożało jeszcze o połowę.

Rozjechały się bieguny, ale jednocześnie wzmocnił środek. W 1992 r. 70 proc. Polaków, jak wynika z innych już badań („Diagnozy społecznej” realizowanej przez prof. Janusza Cza-

pińskiego, psychologa społecznego z Uniwersytetu Warszawskiego), twierdziło, że nie wystarcza im pieniędzy na zaspokojenie podstawowych potrzeb – w 2011 r. problem ten miało już „tylko” 26 proc. „Diagnoza” pokazuje, że proces wzrostu nierówności w Polsce, które w 2003 r. należały do najwyższych w Europie, po 2005 r. zmienił łagodnie kierunek i dysproporcje zaczęły się zmniejszać.

Ostrożnie z zachwytem, studzi radość dr Maciej Gdula, socjolog z Uniwersytetu Warszawskiego. – *Pamiętajmy, że w tym czasie wstąpiliśmy do Unii Europejskiej. Dwa miliony Polaków wyjechało w poszukiwaniu lepszego losu za granicę. A ci, co zostali, skorzystali na unijnym wsparciu finansowym. Inwestycje w infrastrukturę dały zatrudnienie robotnikom niewykwalifikowanym, a Wspólna Polityka Rolna pomogła wsi. Najwięcej zyskały więc grupy znajdujące się u dołu drabiny społeczno-ekonomicznej, co od razu wychwyciły pomiary nierówności.*

Trwamy w podziale

Niestety, nic się nie zmieniło pod względem strukturalnym, przekonuje prof. Słomczyński. Wolnorynkowy kapitalizm, nawet jeśli zapewnia wzrost zamożności wszystkim, to bardziej sprzyja uprzywilejowanym. Oczywiście, nierówności społeczno-ekonomiczne istnieją wszędzie, z Kubą i Koreą Północną włącznie. Wielu ekonomistów postrzega je pozytywnie, uznając za motor napędzający rozwój



gospodarczy. Bogaci chcą mieć jeszcze więcej, więc inwestują i jednocześnie dużo wydają na konsumpcję, co daje pracę biedniejszym. Biedniejsi chcą wspiąć się po szczeblach społecznej drabiny, więc inwestują w siebie i dzieci, bo to zwiększa szansę na sukces. Ta wiara silnie towarzyszyła nam w pierwszych latach transformacji. Ale czy dzisiejsza Polska jest krajem, w którym o miejscu w strukturze społecznej decydują przede wszystkim osobiste zdolności i zasługi?

Odpowiedzi dostarczają wspomniane badania POLPAN, które w edycji w 2003 r. wprowadziły także... pomiar inteligencji respondentów. Okazało się, że osoby o najniższych wynikach, lecz plasujące się wyżej w strukturze społecznej, uzyskały w latach 1988–2003 średni przyrost dochodów na poziomie 760 zł, a tak samo mało inteligentni, ale z dołu społecznej drabiny poprawili swój status jedynie o 67 zł. Osoby o najwyższych wynikach w teście inteligencji Ravena, lecz także ze społecznego dołu, zdołały wyrwać w tym czasie 650 zł, a więc i tak mniej niż ci mniej inteligentni, ale lepiej społecznie ustawieni.

Te wyniki nie kwestionują, że droga do sukcesu wiedzie poprzez osobiste predyspozycje. To możliwe, lecz bardzo trudne, nawet dla zdolnych, jeśli pochodzą z niższych stref hierarchii społecznej. Po prostu, Polska jest społeczeństwem klasowym o niewielkiej ruchliwości społecznej, czyli małej szansie na zmianę statusu. Transformacja nie zmieniła tej sytuacji, przeciwnie – utrwaliła strukturę społeczną późnego PRL.

Badania POLPAN wychwytyują, że kto należał do nomenklatury PRL, miał relatywnie największe szanse zostać przedsiębiorcą lub menedżerem. Dawnym pracownikom umysłowym, czyli inteligencji, przypadł w nowym podziale los menedżerów i ekspertów. Robotnicy zostali robotnikami lub bezrobotnymi. Bo po drodze wyparowało 5 mln miejsc pracy – w 1988 r. zatrudnienie miało 18 mln osób, w dramatycznym 2002 r. już tylko 12,8 mln. Owe pięć milionów podzieliło się na tych, co zasilili szeregi wczesnych emerytów i rencistów, oraz na tych, którzy stworzyli nową kategorię: bezrobotnych.

Elita i lud

Czym jednak są klasy społeczne? Najpopularniejsze chyba podejście wynika z przekonania, że o miejscu człowieka w społecznej hierarchii decyduje zasobność ekonomiczna, praca, jaką wykonuje, i władza, jaką posiada. Kto ma wysokie dochody i sprawuje ważną funkcję, ten plasuje się w klasie wyższej. Trwale bezrobotny wylądował na przeciwnym końcu struktury, zasilając szeregi tzw. podklasy.

Alternatywna popularna koncepcja, sformułowana przez francuskiego socjologa Pierre'a Bourdieu, mówi, że o pozycji człowieka decydują trzy zasoby: kapitał ekonomiczny, czyli to, co ma; kapitał kulturowy, czyli to, co umie, jaki ma gust i jak uczestniczy w kulturze; kapitał społeczny, czyli kogo zna. Na tej podstawie wyróżnił trzy duże klasy: klasę wyższą, średnią i ludową.

Jak jest w Polsce? Analizując status ekonomiczny, społeczno-zawodowy oraz udział w relacjach władzy (podwładny czy kierujący) prof. Henryk Domański, socjolog z Polskiej Akademii Nauk, wylicza następujące klasy:

- wyższe kadry kierownicze, inteligencja, inżynierowie – ok. 9 proc. ludności
- niżsi kierownicy, technicy, księgowi, pielęgniarzy, czyli przedstawiciele zawodów profesjonalizowanych – ok. 18 proc.
- białe kołnierzyki, czyli szeregowi urzędnicy – ok. 9 proc.
- pracownicy sektora handlu i usług – 12 proc.
- robotnicy wykwalifikowani – 20 proc.
- robotnicy niewykwalifikowani – 16 proc.
- właściciele firm – 6–7 proc.
- rolnicy i robotnicy rolni – 9 proc.
- underclass, podklasa tworzona m.in. przez długotrwale bezrobotnych – 8–9 proc.

(Suma przekracza 100 proc. ze względu na płynność granic, zwłaszcza w dolnych strefach struktury).

Po dyskusji w grupie socjologów i publicystów ten podział przyjęliśmy jako podstawę do naszej nieznacznie zmodyfikowanej klasyfikacji, którą wraz z charakterystykami poszczególnych klas prezentujemy na s. 17. Przyjrzyjmy się bliżej kilku kryteriom, które mają znaczenie przy klasowym podziale, ale też pewnym paradoksom.

Dochody i oszczędności

W potocznym rozumieniu elitą społeczną są osoby bogate, zarabiające najwięcej. Ale w Polsce pomiędzy kolejnymi szczeblami drabiny społecznej różnice nie są oszałamiające. Widać to wyraźnie w systemie PIT (podatku od dochodów osobistych), obejmującym ponad 24,6 mln osób. Drugi – i w tej chwili najwyższy – próg podatkowy (32 proc. podatku od kwoty ponad 85 tys. 528 zł) przekracza zaledwie 521,6 tys. osób (2,14 proc. podatników). Przeciętne roczne dochody osób stojących według polskiego fiskusa na najwyższym szczeblu drabiny zamożności wynoszą 139 tys. zł brutto, czyli niecałe 12 tys. zł miesięcznie.

Do tak rozumianej elity finansowej z pewnością przynależy zarówno premier Donald Tusk (z pensją ok. 15 tys. zł miesięcznie), jak i prezydent Bronisław Komorowski oraz większość parlamentarzystów. Należą też do niej np. najlepiej płatni, zatrudnieni jeszcze na etatach, specjaliści. Ale fortuna to to nie jest.

Nieco zamożniejsi są przedsiębiorcy, którzy PIT płacą mniejszy (19 proc.), choć zarabiają więcej niż finansowa elita na etatach. W 2011 r. (danych z 2012 jeszcze nie ma) liniowy PIT płaciło 414 tys. przedsiębiorców. Są w tej grupie także osoby, o których kiedyś mówiło się, że uprawiają wolne zawody: prawnicy, lekarze, architekci. Przeciętne roczne dochody przedsiębiorców, którzy wybrali PIT liniowy, wynosiły 199 tys. 854 zł, czyli ponad 16 tys. zł miesięcznie.

Niżak to się ma do naprawdę dużego biznesu. Bo duży biznes od średniego różni się m.in. tym, że żyje z dywidendy, czyli podziału zysku należących do niego firm. Podatek od dywidendy również wynosi 19 proc., ale osoby te nie figurują już w systemie PIT. Im więcej zarabia taki biznesmen, tym bardziej odkleja się od rodzimego fiskusa. Najpierw bogate rezydencje przestawały być prywatną własnością ich mieszkańców, a figurowały jako majątek ich firm. Przerzucając gros kosztów na przedsiębiorstwo, właściciel mógłby w ogóle nie zarabiać. Potem firmy rejestrowano na Cyprze lub w rajach podatkowych i polski fiskus niewiele miał z nich pożytku. Prawdziwa polska elita finansowa żyje poza polskim systemem podatkowym. O jej stanie posiadania fiskus nie wie prawie nic. W Polsce nie ma przecież podatku majątkowego, czyli tak zwanego katastru.

Paradoksalnie, poza systemem podatkowym są też Polacy z najniższego szczebla dochodowego. Chodzi o rolników (ciągle mamy ok. 2 mln gospodarstw rolnych), gdzie tzw. mediana dochodów ledwo przekracza 1 tys. zł miesięcznie. Przeciętny dochód z gospodarstwa indywidualnego wynosi ok. 680 zł miesięcznie na osobę. Ponieważ jednak w wolnej Polsce nie można rządzić bez koalicjanta, który reprezentuje interesy wsi, podatków dochodowych ciągle nie płacą ani chłopci bardzo biedni, ani bardzo bogaci.

Dodajmy, że średnie krajowe zarobki wynoszą dziś ok. 3,8 tys. zł brutto. Dla 60 proc. pracujących ta granica jest nieosiągalna.

Ważne dla statusu materialnego (i społecznego) są oszczędności i zgromadzony majątek. Tego, czego o najbogatszych Polakach nie wie rodzimy system podatkowy, bardzo próbują się dowiedzieć banki. Nieustannie szukają bogatych klientów. Według Global Wealth Report 2012 w Polsce majątek przekraczający milion dolarów ma 39 tys. osób. W 2017 r. ich liczba powinna się podwoić. Kiedy będziemy liczyć w złotówkach, grono milionerów – według Deloitte – sięgnie 50 tys. osób. Ogółem Polacy zgromadzili na depozytach bankowych ponad pół ▶